



PIOTR JANOCHA

Warszawa, 15 marca 1946 r. Sędzia Stanisław Rybiński, delegowany do Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka. Świadek został uprzedzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o znaczeniu przysięgi. Sędzia odebrał od niego przysięgę, po czym świadek zeznał, co następuje:

Nazywam się	Piotr Janocha
Data urodzenia	28 czerwca 1889 r.
Imiona rodziców	Antoni i Maria z Adamskich
Zajęcie	kupiec
Wykształcenie	średnie
Miejsce zamieszkania	Warszawa Praga, Ząbkowska 30 m. 3
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany

W roku 1943 mieszkałem razem z żoną swą i dwoma synami Edwardem (urodzonym w dniu 2 stycznia 1925 r.) i Aleksandrem Jakubem (urodzonym w dniu 25 lipca 1927 r.) tam, gdzie i obecnie mieszkam. Starszy syn pracował w biurze hydraulicznym „Janczewski i Frejman”, mieszczącym się przy ul. Mokotowskiej 49, a młodszy – Aleksander – uczył się w szkole technicznej, dawnym gimnazjum imienia Tadeusza Czackiego; był już w trzeciej klasie. 13 listopada 1943 roku Aleksander wyszedł z domu i miał udać się do fryzjera. Była wówczas godzina czwarta po południu. Nie wiem, czy była dnia tego łapanka i syn był schwytyany na ulicy, czy też zabrany z jakiegoś lokalu, dość, że do domu więcej nie wrócił. Przez szereg dni nie miałem o nim żadnej wiadomości. Dopiero w końcu listopada 1943 otrzymałem list z Radomia od jakiegoś

człowieka, nazwiska którego nie pamiętam. Człowiek ten doniósł mi, że został zwolniony z więzienia w Tomaszowie Mazowieckim i że tam spotkał się z moim synem Aleksandrem Jakubem; syn pozostaje nadal w tamtejszym więzieniu.

Po otrzymaniu tej wiadomości pojechałem do Tomaszowa i udało mi się przez przypadkowo otwieraną furtkę zobaczyć syna, który znajdował się na dziedzińcu więziennym. On też mnie zauważył. W więzieniu przyjęli ode mnie paczkę dla niego. W ten sposób udało mi się kilka razy dostarczyć synowi paczki z żywnością i zmianę bielizny. W pierwszym tygodniu po świętach Bożego Narodzenia pojechalismy do Tomaszowa z żoną i zawieźliśmy synowi paczkę, którą mu też doręczono. Później jednak, kiedy przywiozłem dla niego czystą bieliznę i chciałem odebrać brudną, strażnik więzienny powiedział, że bieliznę pierze się w więzieniu. Wobec tego przestałem wozić dla syna bieliznę, a później otrzymałem z więzienia zakrwawioną i bardzo brudną jego bieliznę. Okazało się, że musiał przez dłuższy czas nosić brudną bieliznę, bo nie dostawał czystej. Gdy następnie żona pojechała do Tomaszowa 20 stycznia 1944, powiedziano jej, że 18 stycznia wywieźli syna do obozu w Gross-Rosen. Napisałem do komendanta obozu i uzyskałem zezwolenie na przesyłanie synowi paczek. Zacząłem przysyłać paczki, lecz po pewnym czasie wszystkie te paczki wysłane za zezwoleniem oficjalnie zostały mi zwrócone z informacją, że syn jest tego rodzaju więźniem politycznym, że mu nie wolno odbierać paczek i poczty.

Paczki wysłane wcześniej bez zezwolenia nie wróciły i nie wiem, czy syn je otrzymał. Ostatnia paczka została wysłana już w grudniu 1944 roku, po powstaniu, i też wróciła. Natomiast w lipcu 1944 gestapo wezwało żonę na aleję Szucha i tam jej oznajmiło, że syn nasz Aleksander Jakub zmarł na zapalenie płuc 12 czerwca 1944 roku o godzinie 7.15. My jednak dotąd nie wierzymy, że syn zmarł.

Muszę dodać, że nie mamy przy sobie i starszego syna Edwarda. 1 sierpnia 1944 wyszedł z rana do pracy na ul. Mokotowską i nie wrócił. W dniu tym wybuchło powstanie warszawskie. Nie wiem, co się z synem stało, bo fabryka, gdzie pracował, [jest] spalona i nie mogłem się nawet dowiedzieć, czy mój przyszedł do pracy tego dnia. Od tego czasu nie mam od niego wiadomości.

Gdyśmy w grudniu 1943 roku wracali z żoną z Tomaszowa Mazowieckiego, nagle na stacji Płyćwia wpadli do wagonu żandarmi niemieccy w hełmach i nas wyciągnęli na peron, kazali



stać pod murem z podniesionymi rękami. Zrewidowali nas i kazali zapłacić mandat karny nie wiadomo za co. Na większą sumę gotówki schowaną w bucie nie natrafili. Ogółem ofiarą tej napaści padło około trzydziestu osób. Maszynista zorientował się i pociąg ruszył, pozostawiając nas na stacji. Żandarmi kazali nam iść w pole. Dopiero kiedy oni odeszli, odważyliśmy się powrócić na stację. Z okolicznych mieszkańców nikt nie chciał nas przenocować, obawiając się rewizji i egzekucji.

Odczytano.

Dodaję, że syn Edward należał do organizacji. Czy Aleksander też należał, tego nie wiem.